ZDROJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV POZNAŃ PAŹDZIERNIK 1934 NR. 10 (37)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

HENRYK B. KUMINEK:

NIEBEZPIECZEŃSTWA REGJONALIZMU

1.

Są słowa niebezpieczne i pojęcia niebezpieczne. Najpierw słowa: „Regjonalizm" — jest słowem używanem często. Nawet nadużywanem. Przedewszystkiem przez tych, którzy nie rozumieją jego znaczenia.

W okresie dominującej bezprogramowości czy mętnego poszukiwania programów szczególnem powodzeniem cieszą się słowa, pod które można niepodkładać żadnej treści. „Regjonalizm" jest takiem słowem.

2.

Wieloznaczność słowa: regjonalizm, odbiera mu znaczenie jedyne i bezsporne.

Regjonalizm-słowo odpowiada wielu *regjonalizmom-pojęciom*, indywidualnie traktowanym. I dlatego regjonaliści nie mogą znaleźć wspólnych dróg, ani możliwości porozumienia.

Dowodem chaosu, jaki panuje w tych aktualnych problemach jest dwutomowe dzieło, które ukazało się przed kilkoma miesiącami pt. *„Ruch regjonalistyczny w Europie"*. 24 autorów, w tem 20 cudzoziemców, wypowiedziało swe opinje o dorobku i tendencjach regjonalizmu w różnych krajach europejskich. I z pośród tych 24 pisarzy, z których każdy z osobna zasługuje na miano regjonalisty, niemal każdy podszedł do tematu z innego stanowiska. Gorzej jeszcze, bo niemal każdy z nich inaczej temat pojął.

Nic zresztą w tem bardzo dziwnego: *regjonalizm obejmuje i objąć powinien wszystkie dziedziny życia.* Chodzi jednak o to, aby regjonalizmowi, jako pojęciu, nadać brzmienie jaknajmniej rozciągliwe i choć w pewnym stopniu ustalone. Trzeba zarysować ramy, poza które regjonalizm, zastosowany do jakiejkolwiek kategorji zagadnień, wyjść nie może. Trzeba zrobić wszystko, aby uniknąć interpretacyjnych skrajności.



Leon Wyczółkowski *„Rysunek"*

Bo właśnie skrajność, to pierwsze i największe niebezpieczeństwo każdej sprawy.

3.

Zajmijmy się dla przykładu tą odmianą regjonalizmu, której siłę i intensywność dążeń podkreśla wkład żywych namiętności i najistotniejszych interesów dnia codziennego.

Mówimy o *regjonaliźmie politycznym.* Jest on dzisiaj niewątpliwie mniej aktualny. W każdym razie w praktyce i w istniejącej rzeczywistości.

Samorząd terytorjalny — właściwy wyraz regjonalizmu politycznego i administracyjnego — znajduje się prawie wszędzie w regresji. Wyklucza go, zwyciężający na coraz to liczniejszych odcinkach, ideał państwa totalnego.

Państwo, które chce być wszystkiem, nie może tolerować odrębności regjonalnych. Tembardziej, gdy przejaskrawiony *regjonalizm grozi przerodzeniem się w separatyzm.* Bo i ta możliwość istnieje i daje się odczuwać w państwach, które nie osiągnęły ostatecznego ujednolicenia i do tego zdecydowanie nie dążą.

W Belgji: ustępstwa dla regjonalnych dążeń Flamandczyków, równouprawnienie języka, uniwersytet w Gandawie — nie zniweczyły działalności separatystów. Wprost przeciwnie — dążności rozłamowe rosną.

W Hiszpanji: o regjonaliźmie katalońskim pisał w cytowanym już „Ruchu regjonalistycznym w Europie" — Katalończyk Art. Perucho. Pisał tendencyjnie, ostro, wojowniczo, a na zakończenie swoich rozważań pytał: „Czy jeszcze ośmieli się kto twierdzić, że Hiszpanja potrzebną jest Katalonji do jej egzystencji, i że

Katalonja nie posiada warunków ekonomicznych, pozwalających jej być niezależną? — Skutki takiego stawiania sprawy przez regjonalistów katalońskich były bardziej bezpośrednie i dotkliwe niż się można było spodziewać. Barcelona zawrzała niedawno krwawą rewolucją i wystąpiła przeciw Madrytowi.

W imię regjonalizmu?...

Tak, to był też regjonalizm. Ale regjonalizm-słowo. *Słowo użyte i nadużyte dla doraźnych celów politycznych.*

I czy wobec tego regjonalizm nie jest słowem niebezpiecznem?

4.

Czy można regjonalizm zdefinjować?

Zapewne można, ale lepiej tego nie robić. Wszelka definicja w kwestji tak płynnej, jak samo życie, jest połączona z dużem ryzykiem.

Można jednak a nawet trzeba niektóre możliwości interpretacyjne wyłączyć. Choćby dlatego, żeby uchylić nieporozumienia zasadnicze i konsekwencje szkodliwe dla dobra ruchu.

A więc fakt bezsporny: *separatyzm niema nic wspólnego z regjonalizmem.* I to zarówno w ramach państwa jak narodu. Ale z drugiej strony fakt równie bezsporny: ideały państwowe i ideały narodowe zgadzają się zupełnie ze zdrowo i racjonalnie pojętym regjonalizmem.

5.

Znowu przykład: Szwajcarja.

Kraj, naród i państwo w którem regjonalizm nie jest ruchem rewolucyjnym czy nowatorskim a przeciwnie — *objawem najistotniejszego konserwatyzmu,* choćby dlatego, że na regjonaliźmie właśnie oparta jest cała struktura społeczna, polityczna i kulturalna kraju.

Regjonalizm, albo ściślej kantonalizm szwajcarski, jest podstawą dziejów i bytu państwowego tego narodu, powstałego ze zrzeszenia 22, odrębnych pod wielu względami, kantonów. Szwajcarska rzeczywistość współczesna jest syntezą licznych objawów życia poszczególnych kantonów, mających różną, a jednak zmierzającą do jednego celu, przeszłość.

Regjonalizm szwajcarski wytrzymał ciężkie próby historji i wytworzył w rezultacie jedyny w swoim rodzaju nacjonalizm. Nacjonalizm nie lingwistyczny, bo Szwajcarzy mówią przecież trzema językami, ale *szczególny rodzaj poczucia wspólnoty narodowej, podporządkowanej uczuciu regjonalistycznemu.*

W Szwajcarji, może ze względu na specjalne warunki strukturalne, powstał więc niemal idealny stosunek między centralizmem państwowym i narodowym, a decentralizacją regjonalną.

I to jest droga, po której iść, lub do której zbliżyć się trzeba, aby uniknąć zasadniczych niebezpieczeństw, podważających najwłaściwsze elementy ruchu regjonalistycznego.

6.

Regjonalizm kulturalny, to zagadnienie najbardziej nas obchodzące i najbliższe naszym zainteresowaniom.

Dzisiejszy żywy ruch kulturalny, zaznaczający się coraz silniej w wielu regjonach Polski, powstał na tle dwóch oczywistych faktów:

1. zacofanie, brak istotnych zainteresowań kulturalnych i artystycznych, a przedewszystkiem brak organizacji tych dziedzin życia w ośrodkach prowincjonalnych:

2. całkowite wyzbycie się pierwiastków rodzimych i narodowych przez dominujący w obecnych stosunkach świat artystyczny, zgrupowany głównie w Warszawie i poddanie się przezeń wpływom zbankrutowanych lub bankrutujących prądów kosmopolitycznych.

Taki stan rzeczy musiał wywołać reakcję. Reakcję przedewszystkiem uczuciową, a następnie dopiero konstruktywną.

I ta właśnie reakcja stoi u genezy polskiego regjonalizmu kulturalnego.

7.

Podejście uczuciowe do sprawy nawet bezspornie słusznej, musi być skorygowane przez rozum.

Tak też jest z naszym regjonalizmem, dla którego kwestją bytu jest uniknięcie możliwych wybujałości.

Postawmy najpierw tezę: *regjonalizm nie wskazuje celu, ale metody i środki,*

Regjon jest tylko etapem przejściowym, albo lepiej podstawą wyjściową do pracy nad budową kultury narodowej. Poznanie, ukochanie, podkreślenie walorów regjonu jest najprostszą drogą do osiągnięcia wartościowej konstrukcji całego dorobku kulturalnego narodu.

I taki musi być nasz regjonalizm.

8.

Nie możemy nawiązać do tradycyj polskiego romantyzmu. Romantyzm nasz, romantyzm wieszczów zamało był związany z ziemią, zanadto przesiąkł mesjanizmem i przez ideały ogólno-ludzkie dochodził do narodu.

Do tego samego narodu my dochodzimy przez ziemię i przez żywych ludzi na tej ziemi w najbliższej nam terytorjalnie i duchowo okolicy zamieszkałych i tworzących przeszłą lub aktualną rzeczywistość.

Przed 10-cioma laty Jan Nepomucen Miller, propagując zrodzony z założeń socjalistycznych uniwersalizm, stwierdził, że istotny, dalekosiężny przełom, jaki się odbywa w sztuce najnowszej, polega na zmianie indywidualistycznego podporządkowania sobie świata zewnętrznego na społeczny gromadzki, kolektywny punkt widzenia.

Do tych samych częściowo wniosków dochodzimy i my. Ale różni nas zasadniczo to, że dla nas uniwersalizm jest jedynie refleksem wtórnym, niezbędnym. Zrywamy z supremacją jednostki jako ideału i celu twórczości i *przez pracę dla regjonu budujemy kulturę narodu.*

9.

O regjonaliźmie można pisać dużo. Jest to temat wdzięczny, bo nasuwający liczne wątpliwości i trudności.

Uważamy jednak, że *ważniejsza i pożyteczniejsza jest konkretna praca w swoim regjonie.* Praca intensywna i ciągła, bez względu na brak ostatecznych definicyj i teoretyczne spory.

A tych kilka uwag, zebranych doraźnie i nie mających pretensyj do ogarnięcia materjału, ma być świadectwem, że widzimy niebezpieczeństwa, jakie kryje za sobą regjonalizm i że tych niebezpieczeństw świadomi, chcemy ich w naszej pracy uniknąć.

Stanisław Czernik:

Z cyklu:

MIASTECZKA NIEWYŚPIEWANE

Był czas —
Prócz dzwonów śpiewała cię kielnia,
Przy kielni miecz,
Przy mieczu krzyż czerwony
na białym habicie.
Tym trójdźwiękiem
przerzuconym wstecz,
Jak łącznicą i łącznic rozdzielnią,
Stary las przechodzi w nowy las,
Las drzewny w las z kamienia.
I tak kwitnie w okolicznem życie.

Był czas —
Rozśpiewała się kielnia
Słowikami mądrego kanclerza.
Każdy słowik, jak dźwięk wyszukany,
Kamiennemi rymy nieśmiertelniał —
Ciosany,
Rym słowiczy zamieniony w głaz:
Na nim znaki przymierza —
Rysy pana, który rósł, jak ten las.

Jest czas —
Gdy zabrakło Krzysztofa i kielni —
Dawno —
Smutny słowik z okolicznych ściernisk
Odzywa się raz wraz
I rozdrabnia piosenki jak wapno,
Smutne wapno stęsknione do kielni.

FLORJAN JERNAS:

BALLADA O FONTANNIE HYGIEI I SZKAPACH DOROŻKARSKICH

Na Marcinkowskiego alei
Stoi fontanna Hygiei,
A z niej
Niedźwiedziowi z pyska
Woda wytryska.

Codzień wieczorem, nocą i zrana
Kapie mu z brody woda źródlana
Do basenu...

Przychodzą tam codziennie
Spracowane,
Spocone
I chude
Dorożkarskie szkapy —
I gaszą w wodzie
Dymiące chrapy — — —

Piją chciwie i długo
Po męczących wybiegach —
A dobre niedźwiedzisko
Troskliwie je ostrzega:

Nic lepszego nad wodę
Nie znajdziecie koniska —
Ja codzień was ochotnie
Napoję i opryskam!

Piją chciwie i długo,
A niedźwiedź na nie chucha
I mrużąc lewe oko
Coś szepce im do ucha — — —

Co!? — — —

Codziennie, o północy,
Gdy wkrąg już niema nikogo z ludzi —
Ryczy niedźwiedź z fontanny,
I dorożkarskie szkapy budzi!

Kotłuje się słoma
We wszystkich stajniach!

Konie z Winiar i Jeżyc,
Wildy, Chwaliszewa i Śródki
Kopią w drewniane drzwi,
Rozrywają skoble i kłódki — — —

A potem, w najdzikszym szale
Pędzą ulicami
Siwki i bułanki,
Kare i kasztanki —
Kłusem i pędem,
Stadem i rzędem —

Pędzą dorożkarskie zdechlaki,
Jak skrzydlate rumaki —
Do fontanny!
Do fontanny!

Stawają przed nią wkrąg
I do niedźwiedzia się cisną —

Skarżą się konie
Na dorożkarzy —
Że skąpią im siana,
Że biegać po mieście
Muszą od rana,
Że je biją, —
Że jest im źle!

A współczujący niedźwiedź
Z głową wmurowaną w głazy —
Kiwa żałośnie łbiskiem
Najczulsze szepcąc wyrazy — —

A współczujący niedźwiedź
Ryczy i wodą szeleści —
Wilży spieczone pyski
I konie pieści i pieści — — —

JAN PIECHOCKI:

Z NIWY BELETRYSTYCZNEJ

(Antoni Kawczyński: MĘŻCZYŹNI DOKOŁA EWELINY — Powieść współczesna — Poznań, Wydawnictwo Polskie)

Czytelników możnaby podzielić na kilka kategoryj. Jedni traktują książkę wyłącznie jako środek utrwalania i przekazywania myśli naukowej, wiedzy: Inni szukają książek o trwałych walorach artystycznych czy estetycznych. Jedynie to, czegoby się nie potrzeba wstydzić wobec profesora historji literatury lub augura krytyki, jest godne czytania. Inni wreszcie — a tych jest bodaj najwięcej — szukają w książce rozrywki, środka na nudy i monotonję życia, sposobu na zabicie czasu. Ta ostatnia kategorja jest najliczniejsza. Czytelników tego pokroju zazwyczaj mało obchodzi kwestja *„jak"*, natomiast całą ich uwagę pochłania *„co"* napisano. — Grunt, żeby książka — oczywista chodzi im o powieść — była zajmująca, zawierała ciekawą, możliwie sensacyjną fabułę, żeby „czytała się lekko i przyjemnie". Książki, mające największe nakłady, największą poczytność, figurują na szarym końcu w historjach i podręcznikach literatury, których zadaniem jest przecież i być musi utrwalanie i omawianie zjawisk o charakterze ponadprzeciętnym, nie w sensie poczytności, lecz wartości estetycznej.

O ile jednak sprawa książek „lekkich", przeciętnych, rozrywkowych jest dość obojętną dla historyka literatury i „speców" od estetyki, to dla *socjologa* oraz społecznika mogłaby stanowić temat wielu poważnych rozważań. Pomyśleć tylko, że gdybyśmy w Polsce urządzili plebiscyt na temat ulubionego autora, to wyszliby zeń zwycięsko nie *Żeromski*, nie *Dąbrowska*, nie *Goetel*, lecz... *Marczyński* i *Mniszkówna* (*Trędowata*)! Przeprowadzona przezemnie niedawno ankieta na terenie 2 szkół gimnazjalnych dowiodła, że wśród dorastającej młodzieży — przyszłych sędziów, lekarzy, profesorów — największym mirem cieszy się *„Dzikuska"* Zarzyckiej. Musimy się pogodzić z faktem, że „literatura" dla szerokiego, nawet inteligenckiego ogółu, to bynajmniej nie „literatura piękna" w ścisłem słowa znaczeniu. Faktu tego nie zmienią biadania i lamenty pięknoduchów. Zrozumienie, kosztowanie, przeżycie dzieła sztuki wymaga pewnego przygotowania, więcej: pewnej pracy, a przeciętny czytelnik przy lekturze nie chce myśleć, nie chce pracować, lecz chce się bawić, wypoczywać. To też na Zachodzie (szczególnie we Francji) na 1 dzieło literackie powstaje około 100 książek beletrystycznych. Nikt nad tem w Paryżu i Londynie nie biada: obok konsumentów szampana muszą istnieć (taka jest bowiem natura rzeczy ludzkich) spożywcy tanich win i piwa, nawet tandetnej lemonjady. Chodzi tylko o to, aby to popularne piwo, ta fabryczna lemonjada była coś warta, nie szkodziła na zdrowiu konsumentom.

U nas, w kraju kontrastów, w narodzie o kulturze szlacheckiej i pozie arystokratycznej, w dziedzinie produkcji książkowej istnieją znamienne krańcowości: mamy wielką literaturę od święta i piśmidła godne półanalfabetów. Brak nam naogół „stanu średniego" w piśmiennictwie, lub — jest on słabo rozwinięty. Zupełna analogja do stosunków społecznych i ekonomicznych! Zjawiska te są znane, również smutny objaw zaspakajania głodu czytelniczego szerszych warstw zapomocą obcych namiastków w postaci mniej lub więcej mizernych przekładów.

Z wyżej cytowanych przyczyn radośnie notujemy każdy przejaw rodzimej twórczości w sferze *produkcji beletrystycznej*. Zresztą ja sam, strawiwszy kilka lat na zgłębianiu zawiłych szlaków myśli i piękna poezji Norwida, ekspresjonistów niemieckich i wielkich tytanów powieści francuskiej, przyznaję się (bez skruchy!) że od czasu do czasu oddaję się z przyjemnością zaczytaniu w jakimś dobrze napisanym romansie.

Książka *Antoniego Kawczyńskiego* (redaktora „Ilustracji Polskiej") pod tyt. *„Mężczyźni dokoła Eweliny"* jest bezsprzecznie powieścią zajmującą, stworzoną na reprezentantkę owego wartościowego, „trzeciego, średniego stanu" literatury. Akcja toczy się wartko. Tło stanowią różne stolice Europy, barwnie i plastycznie opisane, bez nadmiaru szczegółów, lecz w takiem ich dozowaniu, aby wyczuwalna przy czytaniu stała się charakterystyczna atmosfera danego miasta, środowiska i kraju. Wypadki rozgrywają się częściowo także w Gdyni i nad polskiem wybrzeżem (prawie każdy z nas może więc skontrolować plastyczność opisu). Nawet o Wrześnię potrąca autor; coprawda oglądamy tylko stację kolejową. A temat? Bardzo aktualny, więcej — modny: historja aferzysty w wielkim stylu i jego nagłego upadku. Więc jeszcze raz typ à la Kreuger. Nie brak, jak to bywa w powieściach sensacyjnych, pewnych nieprawdopodobieństw. Uświadamiamy je sobie po ukończeniu lektury. Zaprawdę ten Anglik, który niedawno i przypadkowo poznanego fortancera czyni swoim zausznikiem w dziedzinie kombinacyj i matactw finansowych, jest pod innym względem jeszcze więcej naiwnie nieostrożnym. Chciałbym widzieć mężczyznę, który tak łatwo zbywa zaloty wokoło ubóstwianej żony, ba, nawet żonie poleca odszukanie tego pana, z którego zniknięcia cieszyłby się tylko normalny człowiek. Czytelnikowi, otrzaskanemu z lekturą powieści sensacyjnych i niesensacyjnych ostatnich lat, w oczy bije analogja niektórych scen i perypetyj bohaterów romansu (por. Vicki Baum, Mostowicz). Także technika opisu, liryczne introdukcje poszczególnych rozdziałów, typy itp. wskazują na podświadome może oddziaływanie szablonu, który w tej dziedzinie produkcji literackiej się wytworzył. Mile uderza zato dyskretny ton traktowania erotyki. Miłość bohatera jest wzniosła i czysta, a została opisana w sposób, który świadczy o czułości autora na drgnienia półtonów serca. W sumie nietylko wzbogaca lekko i potoczyście napisana powieść Kawczyńskiego ubogą twórczość naracyjną Wielkopolski. Stanowi ona również pewną pozycję wśród stosunkowo ubogiej produkcji tego typu na gruncie ogólnopolskim.

JOLENTA BRZEZIŃSKA:

NIEZNAJOMI

— Nie wiysz kto to jest? — pytała Moruszewska męża, gdy drzwi kramiku zamknęły się za nieznajomą.

— Musi być łobcko. To jakoś lepszo.

— Pani pewnie nie tutejsza? — zagadnęła ją kiedyś, zawijając jej bułki.

— Ja? Nie.

— Ja tyż mówiułam, że pani musiała niedawno do naszygo miasta przywyndrować. Byśmy panią znali przecież.

— Tylko przejściowo, w hotelu tu mieszkam.

Bułki zawinięte leżały na ladzie, ale nieznajoma nie odchodziła.

— To pani tak tymczasem tu ino?

— Tak. Mąż ma tu interesy. Jeszcze z tydzień pobędziemy.

— A potym już do domu?

— Jeszcze nie.

— Że tyż pani tak sie chce z mynżym jeździć?

— Muszę być obecna przy pewnych pertraktacjach.

Moruszewska pokiwała głową.

— No tak. To tyż nie dziw. Ale to pewnie niewygodnie tak w hotelu miyszkać.

— Tak jak w domu nie jest.

— Pewnie, pewnie. Pani przecie musi mieć w domu wygode.

— To jak to, tylko, że jesteśmy tutaj z dzieckiem.

— Z dzieckiym?

Nieznajoma przychodziła codziennie. To po chleb, to po bułki, to znów po masło. Moruszewska nie zaniedbywała dowiadywać się o maleństwo.

— Widziołeś? — opowiadała potem mężowi. — Jak łona musi kochać to swoje maluśkie. Jak ło niym mówi, to głos ji drzy, a łoczy śpuści. Nie dziw że sie nie chciała z niym rozstać. Co matka, to matka.

— A pani córa zdrowa? — dopytywała się.

— Dosyć zdrowa dzięki Bogu.

— Tyż musi być pani ciynżko z taką maluśką w hotelu.

— Jakoś idzie.

— Wiadomo, co matka to matka. To ji nic za ciynżko nie jest.

Pani zarumieniła się.

— Ale już państwo niedługo wyjyżdżają?

— Za trzy dni.

— No, to tyż już nie tak źle.

— Kiedy mam właśnie kłopot z tem maleństwem. — Twarz jej zadrgała. Wzrok spłoszony zdawał się unikać spojrzenia piekarki.

— Nie jedziemy wprost do domu — objaśniała zaciekawioną. — Musimy na kilka dni jechać w jeszcze jedno miejsce. Najgorsze to to, że nie będę miała się gdzie z niem podziać.

Moruszewska patrzała na nią z współczuciem.

— Gdybym mogła, — ciągnęła nieznajoma — zostałabym tutaj. Ale muszę jechać z mężem. Nie wiem co mam począć.

Moruszewska kiwała smutnie głową.

— A zostawićby dziecka pani nie mogła? — zapytała z wahaniem.

— Mój Boże! Zostawić. U kogo? Przecież nie mam tu nikogo.

— Prawde pani mówi. Swojygo tu pani niy ma, a u łobckich toby pani pewnie strach miała.

— U obcych. Żeby to człowiek znał tych obcych, to jeszcze.

— Jabym tu pani jedną doradziuła. Biydna kobiyta. Ón tyż bez roboty. Teraz bo troche w boru robi. Ino że u takiyj prostyj baby paniby pewnie nie chciała.

— Żebym to wiedziała czy kobieta uczciwa, porządna!

— Porząnna to już jest. To moge pani powiedzieć. I z dzieckiym łobchodzić tyż sie umiy.

Nieznajoma oparła się o ladę. Twarz jej płonęła. Łokciem potrąciła wagę. Szale zakołysały się. Drżącą ręką przytrzymała języczki.

— Możeby się pani mogła dowiedzieć — jęła podtrzymując je ciągle — czyby nie wzięła dziecka na kilka dni Na cztery dni tylko. Zapłacę dobrze.

Wydawała się niezwykle wzruszona. Moruszewska współczuła jej całem sercem.

— Wiym, że pani przykro byndzie tak je u łobckich zostawić, ale krzywdy mieć tam nie byndzie. Ja ją znam te kobiyte. Dobra kobiycina.

— — — — — — — — — —

— Rómaś! Idźno do Murczola. Pół chleba powiydz. Masz. Trzymaj. A nie zgub!

Chłopiec wrócił nieprawdopobnie szybko.

— Pewnieś nie buł — zdziwiła się matka.

Ale chłopak podniósł chleb trzymany pod pachą.

— Bułzym psecie.

— A coś tak pryndko przyszedł?

— Bo Murcolka...

— Co Murczolka? Co tam mosz w rączce? Pokoż!

Chłopak uchylił zaciśniętej dłoni.

— Dobre — pokazał.

— Karmelek. Murczolka ci daa? Nó, nó, zjydz gó sobie.

— Mama!

Matka krajała już chleb.

— Bo Murcolka...

— Co Murczolka?

— Murcolka mówiuła...

— Co mówiuła?

— Ze ty mos zaro psyś.

— Kiedy? Tero? — położyła chleb na stole.

— Nó.

— A nie mówiuła płoco?

Chłopak był pochłonięty cukierkiem. Matka podeszła do niego.

— A płoco nie mówiuła? — potrząsnęła go za rękę.

— Nie wiym.

Oblizywał z zajęciem karmelek.

— A nie mówiuła, że do praniol mo mama iś?

— Nie wiym.

— Tyż gamuła z ciebie. A nic nie mówiuła?

— Coś mówiuła.

— A cło?

— Jol nie wiym cło — chłopiec był bliski płaczu.

— Jyno mi sie rozbecz! — pogroziła. — Nó, idź już, idź, bow sie ładnie — złagodniała. — Mama poleci do Murczola. Nie bój sie, mama drzwi zamknie.

— — — — — — — — — —

— Wiy pani, pani Matuszak, te pare dni, to ja myśle, że nie tak źle. A to jest lepsza pani, mówiuła, że zapłaci dobrze.

Matuszaczka nie wahała się.

— Pore groszy człowiekowi nadbije. A jożym myślaa, że mi pani ło praniu dzie płowiy.

— Pani przecie z dziećmi łobchodzić sie umiy — przerwała Moruszewska.

— Krzywdy już dziecku nie zrobiym. Bo to, to już nie.

— A mąż sie zgodzi?

— Co sie ni mo zgłodzić. Łón ni mo nic do gołdanio. Jak bydzie mioł robłote, to sie młoże mundrować.

— Przecie robi w boru.

— Te trzy tygłodnie. To cło zarobi to tyż zeźre. Złoty na dzień. Rychtyk na chlyb i smarowanie.

— Prawde pani mówi. Ale jak sie chłop narobi, toby tyż chciał spokój mieć, a nie dziecko na karku.

— Niech pysk trzymo. Łón ta do dzieciolka wstawoł nie bydzie.

— To może ta pani przynieś to dziecko?

— Niech przydzie dzisio wieczór, jak mój bydzie dóma, to sie naprzód rozmówiymy.

— Przecie sie zgodzicie. Wiy pani, pani Matuszak, mnieby to tak na sercu nie leżało, przecie nie moje. Ale ta kobiyta taka do tegó dziecka przywiązana. Jak już ło nim mówi, to tak sie biydaczka zaczerwiyni, a już zaraz ino gdzieś patrzy, żeby to człowiek nie widzioł tegó. Już ja zawsze mówie, co matka to matka.

— Młoże sie kłobiycko naciyrpiało, to tako zawsze wiyncy ło dziecko stoi. Jak ta Andzia Ratajczoków. Jednóm nogóm już dziewuszysko na drugiym świecie buło. Za tym dzieckiym tero jes! A ładny pomperek. Tako matka to już zawsze. Czy pani, czy baba, jednako serce do dziecka mo.

— — — — — — — — — —

Matuszczak siadł ciężko na krześle. Był zmordowany.

— De mi jeś — zawołał.

Kobieta zakręciła się koło garnków.

— Cło mosz do żarcio?

— Płolywke. Cłobym miaa.

Postawiło przed nim talerz zupy.

— Pyrek ni mosz?

— Zaro ci dóm.

— Cołki dziń tyn chlyboszek świynty łobeschniynty, to już garłym wyłazi. Jużbyś tyż mogła roz śtuk na szage kupić.

— Tero zarobiym, to ci kupie.

— Dzie?

— Tu dzisio przydzie jedna pani.

Opowiedziała mu o dziecku.

— — — — — — — — — —

W przeddzień wyjazdu nieznajomi przynieśli maleństwo. Przyszli późnym wieczorem. Dzień był zimny, listopadowy. Z trudem gramolili się po ciemnych, wąskich schodach na poddasze.

Mieszkanie Matuszaków obejmowało jedną izdebkę. Kilka nędznych gratów nie świadczyło o dostatku.

Matuszaczka pomywała właśnie statki.

— Ady weźno światło i poświyć jym, bo jeszczyk pło tych słodach spadnóm.

Chłop chwycił lampę, ale goście wchodzili już do izby. Matuszaczka obtarła szybko ręce i odebrała od nieznajomej niemowlę.

— Krzywdy mieć tu nie bydzie, co to to już nie — mówiła. — Czekej, czekej, zaro ci tu zrobiymy wygłode — i zabrała się do rozwiązywania poduszki.

Nieznajoma stała nad nią i patrzała smutnie na dziecko.

— Niech pani siyndzie — zaprosiła kobieta.

Nieznajoma rozejrzała się po izbie i zatrzymała wzrok na jedynem łóżku.

— Łóna pódzie dło wózka, a Rómaś śpi z nami — objaśniła Matuszaczka.

— Tej, idź przytransportuj tyn wózek ze siyni, to jóm zaroz do niegó włożymy.

Chłop spełnił polecenie. Dziecko płakało. Wydostała je z poduszki i jęła uspokajać.

— Ciichło, cichło. Bez mamy chcesz płakać?

Nieznajoma nie odrywała wzroku od maleństwa.

— Długo jes, ale chude mizerajstwo. Ile tyż mo miesiyncy?

Tymczasem mężczyzna wręczał Matuszakowi jakieś dokumenty i zostawiał swój adres. Wyjął z kieszeni kartkę i ołówek. Chłop przetarł łokciem ceratę na stole.

Za oknem szalało wietrzysko.

Matuszaczka ułożyła malutką w wózku.

— Dzieby ta pani na taki wicher woziuła jom pło świecie. Toby pani zmarło. Tu już krzywdy mieć nie bydzie.

Pani podeszła do dziecka i pochyliła się nad niem. Oczy miała pełne łez. Maleństwo popłakiwało.

— Pójdziemy już, pójdziemy — przynaglił nieznajomy. — Jeszcześmy wszystkiego nie spakowali, a rano wcześnie już musimy wyjeżdżać — objaśnił usprawiedliwiająco.

Pani popatrzała jeszcze na dziecko i ucałowała je.

— Niech sie pani nie błoi — Matuszaczkę wzruszał ten widok. — Krzywdy ji nie zrobjymy. Człowiekby musioł bydlokiym być, żeby takie nieborajctwo nieporadne ukrzywdzić.

Stali już we drzwiach. Nieznajoma odwróciła się jeszcze. Mężczyzna zgromił ją spojrzeniem.

— — — — — — — — — —

Dziecko płakało. Kobieta wstawała w nocy kilka razy, przewijała, karmiła je, ale nic nie pomagało.

Za dnia było jeszcze gorzej.

Kiedy następnej nocy nie uspokoiło się, Matuszak się zirytował.

— Psiakrew z cudzym bochrym.

Dziecko rzucało się w wózku i krzyczało bezustannie.

— Ni młożesz ji tam pore klapsów dać?

Kobieta wstała, wzięła je na rękę.

— Cichło, cichło, takoł dułda bydziesz? — uspakajała.

Maleństwo wierzgało nóżkami, zaciskało piąstki i krzyczało dalej. Ułożyła je spowrotem i siedziała chwilę nad niem.

— Młoże ji Róman doł co zjeś? Zagotowała na spirytusie rumianku. Dziecko piło chciwie, ale płakało dalej. Kobieta przesiedziała przy niem do rana.

— Rómaś! — zawołała chłopca, gdy chłop poszedł do roboty. — Siedź przy ni, mama pódzie pło włode. A dej boczynie, żeby z wózka nie wyleciaa.

Na schodach zatrzymała ją stara Wojciechowska. Mieszkała pod nimi.

— Matuszczoczko! Co tyn twój dzieciok tak skrzeczy! Całóm noc żym łoka nie zmrużuła.

— Maryjo świynto! Mój oż klón. Jołżym tyż nic nie spaa. Jo nie wiym cło tymu dziecku jes. Słucho przecie mo, jeś dłostanie, jyno że zanadto nie chce. Pić barzy. Rumianku żym ji daa, wypiuła, ale dali skrzeczaa. Wiycie, jużym myślaa czy czasym przełómano nie jes.

— Toby mogło być.

— Jołżym już chciaa iś dó wos. Wy potraficie naciągać. Moglibyście zobaczyć.

Wojciechowska zbadała dziecko wszechstronnie. Naciągała je z trudem, gdyż maleństwo wyrywało się.

— Przełómano nie jes, wiysz. Ale łóna ci zdrowo tyż nie jes.

— Młoże jako przejndzie — pocieszała się Matuszaczka.

Ale nie przechodziło. Dziecko prężyło się gwałtownie, zaciśniętemi piąstkami waliło w ściany wózka, a nóżkami zapierało się tak silnie, że skórka na piętach krwawiła.

Kobieta traciła głowę. Nie spała już trzy noce, a maleństwo mimo troskliwych zabiegów nie uspakajało się. Chciała już wezwać lekarza, ale za co? Pocieszała się że je niedługo odbiorą. Może jak je matka weźmie w swoje ręce, zaraz będzie cicho. Obawiała się tylko, żeby jej nie posądzono, że je skrzywdziła,

Oznaczony termin przyjazdu minął, a nieznajomi nie zjawili się. Kobieta była skłopotana.

Dziecko jadło coraz mniej, piło chciwie. Nie wątpiła już, że jest chore.

— Ale co ji jes? — nie mogła dociec. — Młóże sie przeziumbiuła jak jom wtedy przynieśli.

— Wiysz cło? — mówiła wieczorem do chłopa. — Napiszesz płod te adrese cło łostawili, że dziecko jes chłore, żeby na nos łodpowiedzialności nie buło.

Zabrali się zaraz do pracy.

Dziecko było nadal niespokojne. Płakało żałośnie, ciszej jakoś niż spoczątku. Było widocznie osłabione. Czasami z wycieńczenia drzemało, ale jakieś skurcze i drgawki nie opuszczały go podczas snu. Matuszaczka stanęła nad niem, a łzy cisnęły jej się do oczu.

— Taki ładny bymbasek, mój Błoże! — Postanowiła jednak iść po doktora. Usadziła przy maleństwie chłopaka.

— A nie łodchódź łod ni Rómaś — przykazywała. — Tu przydzie jedyn pón. Żebyś buł grzeczny — pogroziła.

Wychodziła już.

— Mama!

— He?

— Joby ksioł...

— Głobyś chcioł?

— ...chleba.

— Maryjo Najświyntszo, przecieżym chłopcu jeś nie daa.

— — — — — — — — — —

Lekarz pochylił się nad dzieckiem.

— Jak dawno jest chore?

— Pinć dni. Zaroz skorno przynieśli.

— Jakto „przynieśli"? Kto przyniósł?

— Nó ci państwo.

— Więc to nie jest pani dziecko? A jak było karmione przez te pięć dni?

— Mlyko i kaszke dawałam, ale że jeś zanadto nie chce. Nojwiyncy to jeszczyk rumianek pije.

— Nic więcej nie dostało?

— Nie.

— Napewno?

Doktor spojrzał badawczo na kobietę.

— Co jobym tam miaa taki maluśki dawać.

— Kto są rodzice dziecka?

— Coprowda to jo to państwo ani nie znóm.

— Jakto? Pani wzięła dziecko i nie wie czyje?

— Nó bo Murczol... pani Murczewsko — poprawiła się, — mówiuła, żebym je wziyna na te pore dni, bo to jes lepsze państwo.

— Murczewska, Murczewska? Kto to jest?

— Ady to ta piykarnio kole pana doktora.

— Ach! Moruszewska! To ona ich zna?

— Przeciy musi znać.

— A pani nie wie co za jedni?

Matuszaczkę zaniepokoiły te wypytywania.

— Łóni miyszkali w hotelu. Łostawili tu swojóm adrese i jakisik papiury jeszczyk, ale jo sie ta na tym nie wyznaje.

Podeszła do szyfonierki i zaczęła szperać między bielizną.

— Jo panu doktorowi pokoże.

Lekarz obejrzał papiery.

— A zapłacili pani?

— Majóm zapłacić jak przyjadóm.

— A kiedy mają przyjechać?

— Mówili, że za śtyry dny, albo najpóźniej za siydym.

— Ma pani na aptekę?

— Jak już bydzie musiało być. Przecie nim mi mój przyniesie, to przyjadóm i łoddadzóm.

— Mąż ma robotę?

— Troche robi, ale jyno tymczasym.

— Ty mały! — doktor skinął na chłopca, który wychylał głowę z za szafy. — Pójdziesz do mnie do domu po bandaż.

— Pódź tu Rómaś, pódź — przywołała go matka.

Chłopak wyłonił się z kąta.

— Pódziesz do pana doktora. Wiysz dzie miyszko?

— Tam za Murcolym tyn dóm?

— Nó.

Lekarz dał chłopcu kartkę.

— Oddaj i zaczekaj.

— Trzeba jej nóżki owiązać — podjął, gdy chłopak wyszedł, — i uważać żeby się bandaż nie zsuwał, bo to sprawiałoby dziecku większy ból. Nic więcej zrobić nie mogę. Zapóźno.

— Cło?

Kobieta spojrzała przestraszona.

— Tak. Zapóźno — powtórzył.

Chciała o coś pytać, ale głos zamarł jej w gardle. Patrzała przelękniona.

— Dziecko jest otrute.

— Matko Błosko!

Dziecko płakało. Drgawki nie opuszczały go. Było wymizerowane i wychudzone. Prężyło sztywno chude nożęta i wydawało się nadmiernie długie.

— — — — — — — — — —

Dziewiątego dnia zrana przyszła agonja. Maleństwo rzężało i drętwiało wolno. Matuszaczka wyczerpana czuwała przy niem. Chłop już nie klął. Żal mu było dziecka.

Stara Wojciechowska przyleciała na górę.

— Łokrzciułaś? — zapytała.

— Ze mie tyż to na myś nie przyszło. Ale jo nie potrafiym. Żebyście wy to Wojciechosko zrobiyli.

Wieczorem dziecko jeszcze żyło. Sztywniejące już ciałko podrzucały drgawki, oczy zaszły bielmem, z zeschłych usteczek dobywała się czkawka, a serce biło mocno.

Matuszaczka męczyła się niemniej od maleństwa.

— Rómaś — przywołała chłopca. Idź do doktora. Wiysz tegó pana co tu buł. Płowiydz, że mama płosi żeby przyszedł.

— Czyby pón doktór ni mógł jaki zajstrzyk dać, żeby tak nie ciyrpiało — prosiła.

Lekarz odmówił. Nie mógł.

— Niech pani idzie spać. Dziecko w każdej chwili musi zakończyć. Nic już pomóc nie można.

Kobieta postanowiła jednak czuwać do końca, chociaż ledwo się na nogach trzymała. Siadła przy dziecku, ale sen ją prędko zmorzył. Chłop ją zbudził.

— Pódź spać.

Przygotowali dziecku posłanie na dwu zestawionych krzesełkach i sztywne już prawie ciałko złożyli na niem. Serce ciągle biło jeszcze.

Kobieta położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Śmiertelna czkawka dobywająca się z maleńkich ust rozlegała się potwornie głośno w ciszy nocnej. Zegar u Wojciechowskiej wybił jedenastą, a kobieta przewracała się z boku na bok. Liczyła kwadranse i godziny. O drugiej zdrzemnęła się na krótko. Zbudziła ją cisza jaka zapanowała w izbie.

— Tej — szturchnęła chłopa.

Nie spał.

— Zapol świyce.

— Błoisz sie?

— Zapol.

Kobieta wstała. Dziecko leżało martwe. Stanęła nad niem, złożyła ręce, podniosła wzrok w górę i — rozpłakała się.

— Dziyn...kaści Błoże... że sie już nie mynczy... siyrłotka jedno — wybełkotała szlochając.

— Nie becz głupio — burknął chłop spod pierzyny. Ale i jego coś w gardle dusiło.

— — — — — — — — —

— Niech mi pani rychtyk płowiy, co łóni sóm za jedni?

— Kiedy ja tyż tak wiym jak i pani.

Moruszewska była przerażona.

— Nó przecie pani musiaa ich znać.

— Skąd? Tyle ino co óna tu chlyb brała. Jegożym na łoczy nie widziała. Pani Matuszak, żebym ja buła wiedziała! Człowiek chciał dobrze.

— Psiakrew suka — wybuchła Matuszaczka. — Łe to głorsze jak suka. Tyj jak szczyniynta płobrać, to płozbiyro choć na pół zdechłe, a do budy poznosi.

— Matko Bosko, żebym ja buła wiedziała.

— Nó, któ mógł wiedzieć. Taka pani.

— Wiy pani, pani Matuszak, mnie to zaroz buło podpadające. Ona ni mogła człowiekowi w łoczy patrzeć. Jak już ło tym dziecku mówiuła, to zawsze gdzieś głowe wykrynciuła. Mnie to zaraz buło podpadające.

— Co sie już móm pani przyznać, to mie tyż buło podpadające, jak łóni to dziecko przynieśli. Łón, bo nic, zatwardziały buł, ale łóna ni mogła łod tegó dzieciszczka łodyjnść. A ładny bymbasek buł. Jołżym se zaroz płomyślaa: halt! tu jakoś kłozyra musi być.

Ady, cłożym tyż zaro miaa pani pokozać. Bło mi dzisio listewy przyniósł tyn list, co my z młojym pisali. Niech pani jyno zoboczy cło tu jes na niym napisane. Jołżym już chciaa prześlabizować, ale że pisane tło mi ciynżko. A młojygo nima dóma.

Moruszewska obejrzała uważnle list.

— A-dre-sat, niech pani ino czeka, bo to troszke nie dojrze, adresat nie-zna-ny — przeczytała.

BOGDAN W. ZAKRZEWSKI:

ZE WSPOMNIEŃ KOŁACZKOWSKICH O REYMONCIE

Bo czy można nie wspomnieć o Reymoncie, kiedy przejeżdża się przez Kołaczkowo?[1] — Więc był taki dzień, że zjawiła się droga polna i pękate rzędy ciemnych wierzb i równina przedwiosenna, zaorana, cała błyszcząca od szkieł, z resztkami zeszłorocznych stogów.

Była chwila dla Reymonta osobna, radośnie chodowana. Powietrze wtedy było pełne takich małych, szybkich moich myśli. — Przez żelazną bramkę ogrodową, wszedłem na żwirową aleję, skierowaną do dworu Kremowy, piętrowy dwór, „włoskiej mody", z szeregiem spłowiało - zielonych okiennic, otaczały olbrzymie, stare drzewa.

Znając już dawniej właścicielkę tego majątku, postanowiłem od niej dowiedzieć się czegoś o Reymoncie, o jego pracy, na tle stosunków wiejskich. Z głębi pokoju grubo zaszczekał pies. Początkowo onieśmielony wtargnięciem w atmosferę intymnego popołudnia, zakłopotany licznem zbiorowiskiem ludzi, nie wiedziałem o czem mówić. — Więc pan chce wiedzieć coś o Reymoncie, — zagadnęła pani domu. — Tak. — My o nim tu mało wiemy. Kupiliśmy majątek w rok po jego śmierci od p. Reymontowej. Mąż mój, sam leczył Reymonta w „Przemienieniu", — opowiadała p. Juraszowa — ale już było zapóźno. Chorował na serce, męczyła go nieustanna praca pisarska tak, że w ostatnich tygodniach podtrzymywany był tylko sztucznemi środkami. Kiedyś jeszcze, w pierwszych latach, wybrałam się z mężem do Reymontów, z pierwszą wizytą. Nie zastaliśmy ich w domu. Dwór cały był pusty, tylko w tej willi, — wskazała przez okno, gdzie za tujami i krągłym trawnikiem bieliła się piętrowa oficyna — w tej willi było wesoło i gwarno. Tam bawił cały sztab Reymonta, artyści, malarze, poeci, pisarze, z Kornelem Makuszyńskim na czele. Na lato zjeżdżali z Warszawy tłumnie i zawsze ich było pełno. Reymont zapraszał wszystkich swych warszawskich kolegów do Kołaczkowa, na tę „wyspę szczęśliwości" i z dumą pokazywał swoje gospodarstwo. — A czy spotkała jeszcze pani Reymonta w Kołaczkowie? — Nie. Widziałam go w Poznaniu i u rodziców, ale już wtedy był bardzo słaby. Zresztą najwięcej wiadomości o nim dostarczyłby sam Makuszyński; przebywał tu najczęściej. Widzi pan: Reymont, gdy zakupił Kołaczkowo, był jeszcze dosyć zdrowy. Miał tyle projektów na przyszłość. Wpierw odrestaurował mieszkanie, założył piękny sad owocowy, chciał budować dla ludzi domy nowe, zajmował się gospodarstwem, chodził do stajni, obór... Widocznie przejął się bardzo tą nową upragnioną rolą gospodarza. Potem wyczerpała go choroba, no i wydzierżawił majątek. — A jaki był jego stosunek do... no mówmy poprostu do chłopów — przerwałem. — Żaden. On lubił ich na dystans, nawet porozmawiał chętnie, ale nigdy się nie spoufalał. Wyjątkiem może był jego stangret. Podobno miał mu Reymont czytać niektóre fragmenty swych utworów, prowadził z nim długie rozmowy, a wreszcie podarował mu resztówkę, małe gospodarstwo. Ten stangret mieszka obok, Rolewicz się nazywa; może się pan od niego coś więcej dowie. Chociaż to jest taki człowiek... jemu nie można zupełnie wierzyć. Tymczasem do rozmowy wtrąciła się starsza pani. Z samego sensu słów dowiedziałem się, że jest ona nauczycielką. Skarżyła się na Reymonta, na jego obojętny stosunek względem szkoły. — I tyle razy dzieci biegały po dziedzińcu, a ja stałam przy płocie, a on szedł drogą w pole, przystanął, a nie wstąpił. I to była widzi pan szkoła polska, — mówiła zaperzona. Ja jestem kobietą, więc nie mogłam przystąpić. Nie interesował się absolutnie dziećmy. Żeby choć ofiarował jedno ze swych dzieł do bibljoteki szkolnej... Bąknąłem nieśmiało, że te dzieci nie mogłyby czytać „Wampira" czy „Chłopów". Przechyliła się w tył, rozpostarłszy szeroko ręce. — Ale nie dał ani grosza — nic! — A proszę pani, zwróciłem się ponownie do gospodyni: — Czy ludzie ze wsi wogóle czytają książki Reymonta? — Niektóre, jak pan wie są za trudne dla nich. „Chłopów" też pewno żaden z nich nie czytał. Oni wogóle nie przyznają się do tej książki. Przyjdzie ktoś ze wsi pożyczyć książkę, to stawia warunek, że musi być o „bogatych ludziach", o rodzie książęcym, o jego tragedjach, — bo kryminalnych nie mam. — Czyli Reymont... — Tak pozostał dla inteligencji. A może chce pan zobaczyć jego pokój, w którym pisał? Na lato przeprowadzany remont w całem mieszkaniu, dlatego taki nieład. Przez amfiladę sal, wśród mebli obciągniętych pokrowcami, weszliśmy do słonecznego pokoju. Tu stało biurko Reymonta, tu pisał po nocach długich niestrudzenie i tu tylekroć spoglądał na swój wspaniały, stary park, na klomby, kwietniki i zacienione ścieżki. Przez hall zagracony wstąpili na frontowy taras, odgrodzony szeregiem wyniosłych kolumn. W tej chwili, otoczone rusztowaniem, podlegały jakiemuś ponownemu otynkowaniu. Z góry, tynk mąką różową sypał się na posadzkę kamienną. – Te filary szególnie imponowały Reymontowi. On je wielbił, zachwycał się ich wielkością, smukłością i powagą siły. Z pewną dumą i zaszczytem wskazywał je każdemu z nowoprzyjeżdżających gości: — „To są te moje filary". Mówił to z takim wewnętrznem zadowoleniem, z taką radością w schorowanej duszy, rozgrabiając nerwowo palcami włosy, — jak prawdziwy gospodarz, pan na Kołaczkowie. Ostatnim jeszcze publicznem wystąpieniem jego w Kołaczkowie, było przyjęcie manifestacyjnego hołdu, jaki złożyło pisarzowi stronnictwo ludowców „Piast", z dr. Michałkiewiczem na czele, wdowód szerzenia wzniosłych idei. Całe Kołaczkowo roztętniło życiem i gwarem ludzi, rozjaśniło się barwami strojów narodowych. Wśród tysięcy głów, chyliły przed „mistrzem" swe drzewce i płachty rozzłocone — poważne związkowe chorągwie. A Reymont, wsparty w ramionach, stanął między grubemi filarami, na tarasie i odczytał zebranym ciche, rzewne podziękowanie. Było to 10. sierpnia 1920 roku. —

Wie pan — dorzuciła jedna z pań, — jak Reymontowi z łatwością przychodziło pisać powieści, tak przemowy wprost go krępowały, przygniatały.

W trakcie ożywionej rozmowy, zeszliśmy do parku. Był wielki, stary, tu słoneczny, tam mroczny. Od strony dworu rzedły drzewa, a srebrzyły się tylko platynowe świerki, przeplecione soczystą zielenią stożkowatych tui.

Drugi, mniejszy taras, oparkaniony i obrosły splotami dzikiego wina, klomby kształtne, ścieżki wrzynające się tunelem w gęstą siatkę bezlistnych drzew...

Na lewo, w sturzędach, doskonale perspektywicznych, stał młody sad. Pnie zwapnione, czyste, pokrywały się rzędami. Obok w szarpiach tiulowych, chyliły się brzozy, jak baldachimy kopuliste, nad darniowemi ławeczkami, gęsto rozsianemi w ocieniałych niszach. —

---

[1]) Kołaczkowo — wioska w powiecie wrzesińskim.

O Reymoncie rozmawiałem w tej chwili wiele. Dziwna przestrzeń i dziwny urok zmięszał się nieznacznie, jak ta chwila, w której to wszystko można sobie przyswoić, zadomowić. Już o tem dawno wiedziałem, ale właśnie dziś przeczułem, że może przyjść to dawne szybko, gwałtownie. Przeczucie nie myliło mię, że musiało być tak, jak jest. —

A jednak jeszcze wspomnę o Reymoncie, gdy rozmawiałem z jego stangretem, grubym czerstwym gospodarzem.

— Nasz dziedzic był dobry człowiek. Ho! ho! Ale chorowity taki i jeszcze go ten dochtór dobił. — Który? — spytałem. Wskazał na dwór. — Ale! — Byłem u niego w szpitalu jak chorował... — No i co? — Pytał się o wieś, o ludzi. — Lubiliście go? — Dobry był, pogadał z każdym, zapytał, gawędził. Szkoda, że chory. Mówił, że tu wszystko elegancko pobuduje, wymaluje, sprosi nas na herbatkę do dworu, cośniecoś przeczyta wieczorami. — Wyście byli u Reymonta od początku? — No tak. Przyjechał Jan, ale jaki tu był nieporządek! We dworze wojsko niemieckie miało siano, owies, myszy pogryzły podłogi. I najpierw swój dach musiał naprawić. Jeździliśmy też po okolicy, często do Miłosławia, gniademi konikami. Lubił jeździć na przechadzki. Do pana naszego z początku często zjeżdżali dziedzice, ale potem widzieli, że on z nami trzyma, więc się nie pokazywali. Na końcu, jak był już mocno chory, to jeno pił czarną kawę, a ciągiem pisał, pisał. Po nocach, jego okno zawsze się świeciło. Powiadają, że jego książki to czytają w Anglji, Francji, ale czy to prawda, to niewiem. Ja też ich nie czytałem, bo są zauczone. Ale, dostał on jeszcze za jedną książkę jakąś nagrodę Nobla z Kołaczkowa. — Więc Kołaczkowo mu ją dało? — Tego to niewiem dokumentnie, bo nikt pieniędzy nie zbierał. I ten dochtór chce mu wystawić pomnik przed pałacem, ale to jeszcze nie wiada kiedy zacznie...

LIST H. SIENKIEWICZA DO WIELKOPOLANINA, KS. WACŁAWA KRUSZKI

Miłośnikom dziejów zakątka rodzinnego przyjemną będzie zapewne wiadomość, drobiazg z historji emigracji amerykańskiej, związany z Pałukami. Idzie o list H. Sienkiewicza, napisany do ks. Wacława Kruszki, syna gospodarza Jana Kruszki (1820—1887) w Słabomierzu pod Żninem. Dzielny Pałuczanin odgrywał w kolonji amerykańskiej wybitną rolę, bronił jedności religijnej współrodaków na ziemi amerykańskiej, zwracał się w tej sprawie do autora Trylogji, który poparł go całym swoim autorytetem.

Tekst listu podaję wedle dzieła ks. Kruszki za tyt. „Historja Polska w Ameryce", tom II, str. 80—81, Milwaukee Wisconsin 1906. Możność opublikowania przyczynka zawdzięczam p. prof. P. Palińskiemu z Wągrówca, za co na tem miejscu wyrażam mu serdeczną podziękę.

Stanisław Helsztyński.

Warszawa.

Przewielebny Księże Dobrodzieju!

Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale polowałem przez kilka dni i wczoraj dopiero wróciłem do Warszawy. Kwestja mianowicie biskupów polskich w Stanach Zjednoczonych niezmiernie mi leży na sercu. Nie ulega wedle mego zdania żadnej wątpliwości, że biskupi polscy zdołaliby stanowczo zapobiedz tworzeniu się „wolnych kościołów" i wszelkim odstępstwom dokonywanym z największą szkodą religji i narodowej jedności. Rozumiem też, że sprawa spotkać się musi z wieloma trudnościami, istnieje wszelako jedna okoliczność, która w wysokim stopniu rokuje pomyślne jej przeprowadzenie: oto wszyscy księża w Stanach Zjednoczonych posiadają język angielski tak jak własny, mogą przeto jako biskupi rozmawiać i rozumieć się z całą ludnością katolicką. Tymczasem niema ani jednego biskupa irlandzkiego, któryby posiadał język polski. — I stąd właśnie pochodzą wszystkie nieporozumienia i odszczepieństwo, jakie miały miejsce w czasach ostatnich. Ufajmy, że Kościół ze zwykłym sobie rozumem potrafi ocenić tę różnicę i postąpi tak rozumnie i przezornie jak postępuje zawsze.

Załączam słowa czci i wysokiego poważania.

HENRYK SIENKIEWICZ.

28. XI. 1903 — Ulica Hoża 22 Warszawa.

P. S. Dołączam kopię listu po francusku, na wypadek gdyby Ksiądz Dobrodziej chciał pokazać go prałatom nietylko polskim.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Augustyn Steffen:

Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji

T. II. 1934. Nakładem Marcina Fiutaka. Leszno. Drukarnia Uniw. Pozn. Str. 134.

Mamy więc już tom drugi zbiorów p. Steffena. Autor zapowiada we wstępie tom trzeci tekstów z warjantami i tom czwarty z melodjami. Obiecuje też, jako zamknięcie, naukowe opracowanie warmińskiej pieśni ludowej. Wysiłki p. Steffena interesują nas o tyle, że wiele pieśni, zanotowanych przez niego, są równie dobrze znane w Wielkopolsce i napewno jeszcze w innych stronach Polski. Charakterystyczne to dla ekspansji pieśni i warjantów w treści. Czasem zapisał tylko fragmenty tego, co zna w większej rozciągłości Wielkopolska i inne dzielnice W naukowem opracowaniu trzeba będzie wydzielić produkt lokalny od bogactwa ogólnonarodowego, co właśnie będzie najważniejsze i najtrudniejsze. Że Warmja z pieśni jest często polską, to oczywiście nie ulega żadnej wątpliwości. Krzyżują się tam tylko różne wpływy centralno-polskie.

Wydanie jest bardzo staranne. Zbytecznie autor objaśnia wyrazy ludowe lub brzmienia łatwo zrozumiałe, a pomija często milczeniem to, co istotnie objaśnić by trzeba. Objaśnia np tancował, zbanek, przydzie — a zostawia brzmienia, których amator nie zrozumie np. łurże (65), czerzian sia (96), płonsy (123) itd. Czasem objaśnia źle lub niedokładnie np. zielgo choroba (= wielka choroba) to nie histerja, ale u ludu zawsze padaczka, epilepsja. Histeryczne ataki nic z „wielkości" nie mają. Mogą wielką chorobą być ewent. kurcze. Plince (125) to nie to samo u ludu co naleśniki. Przy mnieszóndz (14) trzeba było napisać = miesiąc (rozumie się że to księżyc w pieśni, jeśli świecił!). Drzwiami nie dżwiami (16) itd. Ale to często drobiazgi i czasem błędy drukarskie. —

Zbyteczne są pieśni: nr. 94, Los Mazura i 95, Zbójca, podane w formie literackiej. I kilka innych pieśni ma początek literacki czy półliteracki, ale przeróbkę ludową, czy tylko warjanty i szatę językową. Można je więc podawać. Tego literackiego początku dowodzą zwroty, których w mowie ludowej, nietylko warmińskiej niema. To wszystko musi autor wziąć pod uwagę w opracowaniu syntetycznem.

Praca wyszła nakładem p. M. Fiutaka, nauczyciela gimnazjalnego w Lesznie. Jeżeli żebraczy grosz przeznacza na całkowite koszta publikacji biedny urzędnik, to jest to i szlachetne i wzruszające. A. S.

KRONIKA

— W związku z artykułem p. t.: „Z Psychologji Języka", — zamieszczonym w ostatnim (36) zeszycie „Wici Wlkp.", pióra zasłużonego polonisty małopolskiego prof. Juljana Szpunara, otrzymaliśmy list z wyrazami oburzenia na pointę artykułu oraz z zarzutami działalności seperatystycznej pod adresem redakcji.

Prof. J. Szpunar notując w wspomnianym artykuliku autentyczny a charakterystyczny djalog — chciał dorzucić ciekawy przyczynek do psychologji naszego języka. Szkoda tylko, że w zakończeniu swego artykuliku nie zamieścił obszerniejszego komentarza, któryby już w zupełności usprawiedliwił przyczynę zreprodukowania podsłyszanego djalogu.

Na zarzut działalności seperatystycznej — redakcja odpowiadać nie zamierza i — nie potrzebuje. Byłoby to poniżej jej godności. Wystarczy tylko przypomnieć, — że od pierwszego zeszytu „Wici W." redakcja zwalcza każdy odruch „dzielnicowości" — i, — że spis jej licznych współpracowników zaszczycają takie nazwiska swietnych, małopolskich pisarzy jak np. Witold Noskowski, Stefan Papée, Michał Rusinek, Jan Sztaudynger i inni.

— O działalności Związku Zrzeszeń Artystycznych i o wieczorach w Pałacu Działyńskich poinformujemy czytelników w następnym zeszycie „Wici Wielkopolskich"

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.

Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.